

**ELIZA  
ORZESZKOWA**

ROMANOWA

Eliza Orzeszkowa

**Romanowa**

«Public Domain»

## **Orzeszkowa E.**

Romanowa / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Przepis na życie dzieci i ich rodziców rzadko bywa tożsamy. Tytułowa Romanowa po śmierci męża postanowiła całe swoje życie poświęcić synowi i wychować go na zaradnego mężczyznę, który będzie potrafił zadbać o gospodarstwo i matkę. Michałko, mimo zdolności murarskich oraz przychylności swojego szefa, wydaje się nie wykazywać zainteresowania prowadzeniem uczciwego życia. Nie potrafi zatroszczyć się nawet o siebie, jest zawadiaką i lubi wszczynać awantury. Do uporządkowania swojego życia nie przekonuje go nawet ślub z piękną Zośką Chlewińską, córką majstra. Szczegółów historii oraz tego, dokąd doprowadziły Michałka jego czyny, szukajcie w Romanowej Elizy Orzeszkowej.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

## Eliza Orzeszkowa

### Romanowa

Więc i ta nawet kobieta miała kiedyś nad głową błękit wiosenny, a w sercu słońce szczęścia! Więc i takie nawet pylinki ludzkości, malutkie i szare, posiadają wspomnienia swe, o których z głośnym, rubasznym śmiechem mówią dopóty, dopóki w oku ich nie zakręci się ła. Proszę! Ktoby się był spodziewał, że ta Romanowa wiodła kiedyś życie szczęśliwe i wesołe, któremu nawet nie brakowało odrobiny poezji. Ona i poezja! Dziwny związek dwu sprzecznych z sobą składników, który, aby w retorcji życia móc dostrzec, trzeba chyba oko w drobnowidz uzbroić.

Znałam ją już od lat kilku, niemniej, gdy opowiadała mi przeszłość swoją, przypatrywałam się bacznie i ciekawie całej powierzchowności jej, a szczególnie grze zmarszczek jej twarzy. Jakkolwiek od lat już kilkunastu przebywała w mieście, nie przyswoiła sobie nigdy całkowitego ubrania miejskiego. Posiadała sztukę wyszukiwania na rynkach miejskich owych spodnic grubych i sztywnych, które z farbowanych na barwy różne lnu i konopi tkają na krośnach swych kobiety wiejskie, a które w języku miejscowym noszą nazwę **samodziału**. W **samodziałowej** zatem spódnicy, sztywnej i mieniającej się czerwonymi i sinymi pręgi, w grubym i ciężkim obuwiu na ogromnych stopach, w kaftanie pomiejsku już nieco skrojonym i perkalowej, kwiecistej chustce powiejsku znowu zawiązanej na głowie w ten sposób, że tworzyła czepek ukazujący z przodu dwa pasma siwiejących włosów, stała przede mną rozgadana, śmiejąca się, szczęśliwa tem, że pozwolono jej gadać... gadać... gadać. Była może kiedyś przystojną, ale teraz, twarz jej z ciemną skórą, czołem wąskim i pomarszczonym, z pomarszczonymi policzkami i zwiędłymi usty, przypominała zgniecioną kartę starego żółtego papieru. Mały zadarty nos rzucał na twarz tę wyraz głupowatej trochę wesołości, a siwe, małe oczy, zpod gęstych wypukłych brwi błyszczące były i bardzo żywe. Ręce jej objawiały życie spędzone w ciężkiej i nieustannej pracy. Zdała na nie patrząc, można było mniemać, że okrywały je rękawiczki, tego odcienia orzechowej barwy, która nosi nazwę **koloru Bismark**. Były one dziwnie grube w dłoniach, o węzłowatych palcach, wiecznie poznaczone czarnymi i czerwonymi bliznami, świadczącymi o częstym ich stykaniu się z ogniem i kipiętkiem. Ręce te u piersi splótłszy i siwymi oczyma błyskając, opowiadała.

– **Bywało**, proszę pani, zimową porą, jak go **smotrytiel** po siano posyła, założy do sań parę koni, do dyszla dzwonek przywiąże... i woła na mnie: „Ewka! chodź! a żywo! razem pojedziem!” **Smotrytiel** czasem z sieni krzyczy: „Roman! a poco ci ten dzwonek?” „Żeby wilki w lesie nie napadli” – odpowiada. – Ale ja wiedziałam, że to wcale nie dla wilków, tylko dlatego, że ja strasznie lubiłam z dzwoniem pocztowym jeździć. Drugiemu możeby i nie pozwolili żonki brać z sobą, ale jemu co innego. Drugiego takiego pocztyliona na żadnej **stancyi** (stacyi) od naszej aż do samego Wilna nie było. Najlepszą czwórkę koni jemu zawsze dawali. Kiedy gubernator albo jaki wielki generał przejeżdżał, nikt go nie wioził tylko Roman. Kiedy pan jaki przyjeżdżał, to, **bywało**, **smotrytiela** prosił: „tylkoż Romana mnie dajcie!” Bo to, proszę pani, wysoki był, **piękny**, jak dąb mężczyzna, brunet taki, jakby jemu kto włosy i wąsy smołą posmarował, silny w rękę taki, że niech Pan Bóg broni, i niepijący. Wódki na Wielkanoc chyba pokosztuje, albo czasem piwa szklanę wypije, ale nikt go nigdy pijanego, tak jak innych, nie widział. Konie lubił jak dzieci; po całych dniach, **bywało**, to czyści zwierzęta te, to karmi, to poi, a kiedy nic już koło nich do roboty nie ma, to tak sobie przy nich w przeorynie stanie, grzywy im głaszcze i gada do nich, jak do ludzi... Czasem i mnie od roboty odwoła: „Ewka! a chodźno tu!” Co robić? choć od gotowania albo od balii odejdę, a do stajni idę. On mnie za rękę i do przeoryny ciągnie. „Patrzajno – mówi – jakie u tej bestyi oczy mądre!” A koń patrzy się na niego, jak człowiek, i pysk mu na ramieniu kładzie, jak pies. „Przynieśno mu kawałek chleba” – mówi. – Pójdę, **bywało**, do chaty i przyniosę. A co robić? Kiedy on tak te zwierzęta lubił. Stoim tedy w przeorynie, on z jednej strony konia, ja z drugiej. „Daj mu chleb sama” – mówi. – Daję. Kota tam w stajni trzymali, takiego wielkiego, burego, co, **bywało**, jak zobaczy chleb w ludzkim ręku, z

góry po drabinie złazi, na żłobie końskim siada, miauczy i w oczy patrzy. „Dajże **kryszkę** (troszkę) i **kotu**”. – mówi. – Ja troszkę chleba to **koniu** dam, to **kotu** i śmieje się, jak waryatka, a on nie śmieje się, tylko to na mnie, to na te bestye patrzy i taki szczęśliwy, że aż mu oczy błyszczą. Inne **pocztyliony** kłóca się, **bywało**, na dziedzińcu, albo w karczmie piją, albo biją się w swoich chatach z żonkami, a on ciągle tylko mnieby przy sobie trzymał i swoje konie pieścił... Strach, jak on te bestye lubił...

I ją śnać lubił on bardzo, a ona wiedziała i pamiętała o tem, tylko mówić nie chciała, albo nie mogła. Pewniej, że nie mogła; przygarbiła się trochę, na wąskiem jej czole zmarszczki poruszyły się jak fale, żółte powieki mrógneły kilka razy prędko... prędko...

– Ale cóż tam było wtedy, jakeście saniami razem po siano jeździli?...

Wyprostowała się, wilgotne oczy jej błysnęły, zaczęła znowu śmiać się.

– Czystyto śmiech był, proszę pani... cha, cha, cha, cha... Parę koni, **bywało**, założy, tłustych, wykarmionych, jak szkło błyszczących, dzwonek do dyszla przywiąże i krzyczy; „Ewka! chodźno tu, a żywo!” Ja na to, jak na lato! **Cap, łap**, chustkę na głowę, przed chatę wylatuję i starej Kaśki wołam, żeby dziecko i stawy gotującej się dopilnowała...

– A któżto była ta Kaśka?

– Wdowa po kowalu, proszę pani, taka stareńka... stareńka i bardzo biedna... Jak jej mąż umarł, przy córce zamężnej, co za chłopca wyszła, mieszkała, aż zięć z chaty wypędził... do syna kowala mieszkać poszła, a syn rozpił się, w świat poszedł i zginął bez **wiadomości żadnej**... starą matkę porzuciwszy... Pan Bóg wie co z nim stało się... Czy zmarł gdzie pod płotem, zwyczajnie jak pijak, czy może i okradł kogo, to go do turmy wzięli i daleko zaszali... To ta Kaśka, zwyczajnie, podziać się gdzie nie mając, na naszej **stancyi** żyła... Smotrytielowi i pocztylionowym żonom posługiwała, a latem krowy pasła... Oj, pani moja... biednaż ta Kaśka była na swoje stare lata, biedna!

Tu rękę podniosła, policzek na dłoni wsparła a na twarzy jej odmalowało się takie przerażenie, że zmarszczki jej nawet jakby w niem osłupiały. O przyczynie przerażenia tego, które ją ogarnęło, wiedziałam dobrze.

– Pewno w tej chwili o Michałku swoim pomyślałaś?

Twierdząco wstrząsnęła głową.

– Moja droga pani, moja najdroższa pani, co z nim będzie? co z nim stanie się? Czy on tak samo zmarnuje się, jak ten syn Kaśki?...

Mówiąc to patrzała mi w oczy, a wzrok jej nieruchomy, wśród znieruchomiłych zmarszczek twarzy, tak stawał się przenikliwym, jakby pragnęła do wnętrza duszy mojej zajrzeć i dowiedzieć się, co ja o tem myślę. Czy Michałek jej tak samo zmarnuje się, jak ten syn Kaśki? Pragnęłam odpowiedzieć przecząco, ale nie mogłam. Wołałam zwrócić ją znowu ku jej przeszłości.

– Więc wołałaś starej Kaśki, aby ci dziecka i stawy dopilnowała...

Jak u wszystkich natur pierwotnych, wrażenia i humory najsprzeczniejsze, budziły się w niej i zastępowały wzajem, z szybkością dla ludzi ucywilizowanych niepojętą. Słoneczne wspomnienie rzuciło znowu na twarz jej żywą grę rysów i zmarszczek. Znowu, śmiejąc się, mówić zaczęła:

– Taki, proszę pani, z tego Romana mego był psotnik i śmiechulski, że tylko jemu byle śmiać się i dokazywać... **Bywało**, ja w chustce na głowie przed próg wyskoczę i Kaśki wołam, a on przyskoczy, wpół mnie schwyty i jak małe dziecko na saniach posadzi... Chustka mi z głowy spadnie, śmieję się tak, że aż mi **duch zabiera** i ani obejrzę się, jak on na saniach stanie, na konie krzyknie i haj! lecim... Ja siedzę, on stoi, w jednej ręce lejce trzyma, w drugiej bat... ale bata on na konie nie używał, tylko wesprze się, **bywało**, na nim, żeby mocniej stać, bo stojąc jeździć strasznie lubił i tak, **bywało**, wyprostowany, słuszny, piękny, jak ten młody dąb, co choć wiatr dmie, jego ani ruszy, leci i ani drgnie... Czasem tylko na mnie spojrzy i zagada: „a co, Ewka, nie zimno tobie?” i znów na konie: „hej, hej, dzieci, hej, hej!” aż po drodze i polu rozlega się... **Najpierw**, proszę, pani, to my tak drogą pocztową trzy wiorsty przelecim... dzwonek dzwoni, kopyta końskie po śniegu **czach-czach, czach-czach!** Słońce, choć to zima, świeci, niebo wszędzie takie błękitne, pole z jednej strony i z

drugiej strony takie białe, białe, że aż oczy mroczą się, drzewa przy drodze **migają** i wróble, krzyząc, zrywają się przed końmi...

Oczy jej zaiskrzyły się i policzki zapłonęły. Z rubaszną żywością giestykulować i poruszać się zaczęła, rękoma ukazując niby te pola, drzewa i wróble, o których opowiadała, a postacią naśladowując to wyprostowaną postawę Romana, to rwanie się koni, to własne ówczesne rozweselenie i rozchichotanie.

– Potem, pani moja, braliśmy się z gościńca na prawo, jak dziś pamiętam, że na prawo, i wjeżdżaliśmy w las, w którym siennica stała. Tu już nie można było tak lecieć, jak przez gościńiec, bo droga była wąska i kręciła się między drzewami. Roman do koni przemówił: „wolniej, dzieci, wolniej!” i choć lejców ani przyciągnie, konie wolniej iść zaczynają. Mowę jego bestye te rozumiały. Wtedy, **bywało**, i on przy mnie na saniach siądzie, nogi wyciągnie, bat przy sobie położy i po lesie ogląda się. Strasznie las lubił, bo synem leśnika był, w puszczy hodowanym i w ośmnaście lat, po ojcu osierociawszy, pocztylionem został. Siedzi tedy, **bywało**, i ogląda się. „Patrzaj, Ewka – mówi – jakie te drzewa wysokie, hej, aż pod niebo rosną!” „Aha!” – mówię. – A on znów: „Patrzaj, Ewka, co śniegu na gałęziach... ot zdaje się, że złamię się zaraz!” „Aha!” – mówię. – Patrzę, pani moja, i dziwuję się, że drzewa takie wysokie i śniegiem oblepione... A on znów: „Patrzaj, Ewka, jak tam słońce przez gęszcze prześwieca się i śnieg błyszczący”. Prawda, że błyszczał, aż oczy mrużyły się. A cicho tam było, pani moja, jak makiem posiał. Ani wiatorku najmniejszego, ani głosu ludzkiego znikąd nie słyhać... Czasem tylko sucha gałąź gdzieścis zatrzeszczy i złamie się, albo wrona zleci na drzewo i zakracze. Końskich kopyt nawet nie słyhać, tak pomaleńku sobie stąpają i sań nie słyhać, tak suną się po śniegu, jak po puchu. A Roman do mnie: „Śpiewajmy!” – mówi. – Ja na to, jak na lato: śpiewajmy! Dużo on bardzo piosenek ślicznych umiał, od swego ojca, co w wojsku kiedyś służył, i od swojej matki, co po dworach służyła, nauczył się i mnie ponauczał. Jak zawiedziem tedy jednym głosem: „Stój, poczekaj, moja duszko”... albo: „Bywaj, luba, zdrowa”, to te śpiewanie nasze po całym lesie rozlega się, i zdaje się, że aż pod niebo idzie, i zdaje się, że go te wysokie, takie wyprostowane i śniegiem oblepione drzewa słuchają. U Romana lejce tak wolno wiszą, że aż ciągną się po ziemi, konie jak dzieci pomaleńku, równiuteńko sobie idą, a my, objąwszy się wpół i po lesie patrząc, śpiewamy i śpiewamy, jak te, nieprzymierzając, dwa ptaki... Wtem, jak oberwie się z gałęzi kawał śniegu, jak spadnie jemu na głowę a mnie na sam nos, jak rozsypie się nam niby grad po plecach i po kolanach... ja w krzyk, on w śmiech... i śpiewanie nasze skończone. Roman lejce w garść, znowu na saniach stoi i na konie: hej! hej! A tu i na polankę wjeżdżamy, gdzie siennica stała. Wtedy oboje z sań wyskoczmy i do roboty! Silna byłam, pani moja, jak chłop... to też, kiedy mąż siano na sanie składa, dobrze mu, **bywało**, ku pomocy jestem. On nosi i ja noszę, on składa i ja składam, a wciąż na **wyprzódki** biegamy, to od sań do siennicy, to z siennicy do sań, aż ułożym furę taką, jak wielka góra. Wtedy Roman do mnie: „No, Ewka, a co teraz z tobą będzie?” – mówi. – Nibyto straszny, że już dla mnie miejsca niema. „Piechotą pójdziesz do domu!” – mówi. – „To i pójde – mówię – wielka bieda!” A on mnie wpół i na sianie posadzi, że aż utopię się w niem i tylko głowę moję widać. „Siedź, babo, a trzymaj się, żebyś z tej wysokości nie spadła!” – mówi. – Sam przy mnie siądzie i tak już, pomaleńku, do chaty wracamy...

– A biedy wielkiej w chacie waszej nie było?

– Ej nie, proszę pani; bogactwa nie było, ale i biedy nie było. Statkowaliśmy i pracowali oboje, to i nie zaznaliśmy głodu. **Bywało**, na obiad kapustę i groch, albo barszcz i kartofle gotuję, na wieczerzę znów kartofli albo bobu zwarzę i czasem słoniną okraszę. Wieprzaka co roku karmiłam, na Boże Narodzenie były z niego kiełbasy i kiszki, a na Wielkanoc, Roman od ekonoma, albo od chłopca którego prosię kupował i, za nogi trzymając, do chaty przynosił... To i czegoż więcej żądać było?

Istotnie; groch i kapusta, barszcz i krupnik, bób i kartofle, raz w rok prosię pieczone – czegoż więcej żądać było można? Romanowa z najgłębszym przekonaniem twierdziła, że nic nad to do życzenia mieć nie mogli. Pamięć jej opowiadała, że przy tym sposobie żywienia się, była ona w porze

owej doskonale szczęśliwą. Roman szczęśliwym był także, ale niedoskonale, bo stokrotnie pragnął posiadać kawałek ziemi.

– Ot tak, proszę pani, żądał on kawałka ziemi, że mu to w dzień, ani w nocy z głowy nie wychodziło. Raz powrócił z kąci i ledwie **jarmiak** zdjął, mówi: „Ewka, jaką ja chatę tam za miasteczkiem widział! tylko co, widać, ktoś ją zbudował, bo nowiućka, dach jeszcze żółty, cztery okienka z czerwonymi szlakami naokoło i drzwi na czerwono pomalowane, ganeczek, dziedziniec, płotek z łoży, ogród warzywny, kawałek pola – wszystko jest. Ot, żebyśmy my kiedykolwiek taka siedzibę mieli. Oj!” I może pani nie uwierzy, ale jak Boga kocham, prawdę mówię. Z dziesięć mil tego dnia ujechał, zmókł na ulewnym deszczu tak, że koszulę, w której jeździł, aż wykręcać musiałam, kieliszek wódki nawet dla rozgrzania się wypił, a snu mu z powodu tej chaty nie było. Położył się i z początku zasnął, ale potem ciągle mnie budził: „Ewka, – odzywa się – czy ty śpisz?” „Nie, a co?” – mówię. – „Żebyś ty widziała tę chatę! Koło okien czerwone szlaki na łokieć szerokie, przy samym lesie stoi i jak miarkowałem po miedzach, ze trzy morgi gruntu przy niej. Ot, żebyśmy to mieli kiedy trzy morgi gruntu! Oj!” przewracał się i wzdychał wciąż do tej chaty, jakby, za pozwoleniem pani, do kochanki. Wieczorem, **bywało**, kiedy już wszystko około koni zrobi, a nigdzie nie jedzie, przychodzi ze stajni do domu, bierze Michałka na ręce, po izbie go nosi, aż pod sufit huśtając, tak że chłopiec rączynami o belki za każdą razą opiera się, albo, znowu śpiewa sam i jego śpiewać uczy, a potem zaczyna swoje, o własnej chacie i o gruncie. „Żeby mi Bóg dał, – do chłopca mówi – we własnej chacie cię hodować! żebyś ja kiedy mógł, na własnym gruncie orania cię uczyć! Żebyś ja oczy przy śmierci zamykając myślał, że ty gospodarzem po mnie w swojej chacie zostajesz! Oj!” Westchnie, **bywało**, chłopca mnie odda, a sam w kącie izby siada, twarz ręką podpiera i chmurzy się, jak niebo na deszcz. Wtedy ja z dzieckiem zawsze przy nim siadę i pocieszam go mówiąc: „Może Pan Bóg da!” „Może!” – odpowiada i zaczyna różne projekty układać. Żeby tak gdzie lepszą służbę dostać, do wielkiego jakiego majątku na leśnika pójść, czy co? Żałość mu prędko przechodziła, ręk nie opuszczał i zawsze miał nadzieję: „Jeszcze my, Ewko, młodzi; – mówi – byle statek i pracowitość były, wszystkiego **dochrapać** się można”, A ja w to i wierzyłam. Kiedy on tak mówił, widać prawda była. I sama, **bywało**, o własnej chacie rozgadam się. Łuczywo zapalone i w szczelinę pieca wetknięte pali się jasno niby pochodnia, przy piecu stara Kaśka siedzi, konopie kręci albo motki zwija i bób gotowany żuje; my też na ławie, za stołem, nad misą bobu siedzimy, a chłopak nasz, spory już, pucaty, rumiany, w koszulinie czystej naprzeciw nas, na stołku niby siedzi, a na stole leży i z wytrzeszczonymi oczyma słucha co my gadamy. A my bób jedząc, o naszej chacie, cha, cha, cha! tej, do której jeszcze ani słominki nie było... Jako my, proszę, pani, na własnym gruncie gospodarzyć będziemy, wiele tego siał, a wiele tamtego, jak sobie dwie izby ładnie ustroim, wieprzaków trzech karmić będziemy i owieczek kilka, dwie krówki, klacz ze źrebkiem... Czasem aż pokłócim się z sobą o nasze przyszłe gospodarstwo... Ja kur żądam i kaczek, a on mówi: „głupstwo te twoje kury i kaczki! Ja ich trzymać nie pozwolę, bo szkody robią!” „Otóż będę trzymać!” – mówię. – „Otóż nie będziesz!” „Będę!” – krzyczę, a on jak stuknie kułakiem w stół, to aż misa podskoczy i chłopiec rozplacze się. Wiadomo, mężczyzna, siłę swoją znał. A ja znów, **bywało**, cała struchleję i tylko chłopca płaczącego tulę, a na męża już i spojrzeć boję się. Ale u niego złość prędko mijała. Krzyknie raz, drugi, przez kilka minut nachmurzony siedzi, a potem: „Ewka, dajno mi chłopca!” I wszystko już skończone. Tylko kiedy czasem, dzwonek wtedy odezwie się przed **stancją** a **smotryciel** zawoła: „Roman, konie zakładać!” Roman wstaje z ławy, klnąc pocztę i pocztylionowskie życie. „Żeby ich dyabli porwali! – mówi – z żoną i z dzieckiem posiedzieć nie dają! Wlecz się teraz na całą noc, żeby ich...!” A ja mu **jarmiak** podając i czerwonym pasem go przewiązując, z pociechą: „Poczekaj **kryszkę!** – mówię – z własnej chaty nikt cię na całą noc wyganiać nie będzie!” Aha! własna chata... komu ją Pan Bóg daje, a komu nie daje... i memu Romanowi dał... tylko bardzo ciasną...

Po ciasną istotnie chatę dążyć miał pocztylion, gdy raz, sześć koni do karety przejeżdżającej pani jakiejś założywszy, wpadł do izby, wołając:

– Ewka! paradny **jarmiak** włożyć kazali! Dawaj! – Ubierał się spiesźnie, przejeżdżając panią była żona dygnitarza jakiegoś; **smotrytiel** kłaniał się jej uniżenie, a na pocztyliona o pośpiech wołał. Noc zapadała jesienna, czarna, dżdżysta i świszcząca wichrem. Stacya miała opętanych mil cztery i przed przybyciem do drugiej, rzekę dużą nie mostem, ale promem przebywać wypadało. Romanowa, według zwyczaju dopomagając mężowi do śpiesznego ubierania się, wzdychała: „w taką ciemną noc! przez rzekę!” – „Głupstwo! – odpowiadał – albo to ja pierwszy raz w ciemną noc i przez rzekę pojadę! Ot, jedna tylko bieda! konie lejcowe, te, coto tydzień temu kupione, ręki mojej jeszcze nie znają i narowiste. Dali mi je do poprawienia, ale bestye jak stawały dębem, tak stają. Jeżeli człowiekowi długiego czasu potrzeba, aby od złych nałogów odwyknąć, to cóż zwierzęciu”. – Kiedy powiedziałwszy to, stanął przed palącym się w piecu ogniem, całkiem już ubrany, to w długim **jarmiaku** swym z czarnego aksamitu, w czerwonym pasie, ze świecącym medalem na piersi i futrzaną czapką, z fantazyą na krucze włosy włożoną, wydawał się tak wysokim, silnym i pięknym, że Ewka, o trwodze swej zapominając, wpatrzyła się w niego, jak w cudowny obraz. Dobrze uczyniła, że długo na niego popatrzała, bo nigdy więcej nie miała go już widzieć. W dwie niespełna godziny potem, jak uściskał ją i dziecko, wyszedł z izby, ostrzegając, aby pamiętała na noc drzwi chaty dobrze zamknąć, na kozieł karety wskoczył, lejce w garść schwycił i na konie zawołał: „hej! hej! dzieci, hej, hej, hej”; w dwie niespełna godziny potem, jak kareta świecąc zapalonemi latarniami, z głuchym turkotem oddaliła się od stacyi i zniknęła w deszczowej i wietrznej ciemności, zalegającej drogę pocztową; w niespełna dwie godziny potem, u przewozu, gdy prom przepłynął rzekę przybić już miał do brzegu, w deszczowej i wietrznej ciemności powstały straszne krzyki. Coś się tam okropnego z promem, z końmi i z ludźmi stawało. Karetę jednak, jadącą w niej panią i jej lokaja uratowano. Dwa konie tylko zadusiły się i pocztylion utonął.

Romanowa splasnęła rękoma.

– Ot, tobie i chata z czerwono pomalowanemi drzwiami! ot, tobie i kawałek własnego gruntu! Wyciągnęli go z rzeki, na czerwono pomalowali mu trumnę i w żółtym piasku wykopali dół...

Cięzka ła ciekła po grubej i ciemnej skórze jej policzka; zgarbiła się, trzęsła głową i wilgotnemi oczyma żałośnie patrzyła kędyś, daleko... Nagle, oczy jej oschły i błysnęły tak, jakby miała lat dwadzieścia, jak błyszczyć musiały wtedy, kiedy to Roman, konie do sań założywszy, wołał: „Ewka! razem pojedziem!” Wyprostowała grubą kibić swą i ręce pod fartuch zakładając, z widoczną niecierpliwością pytać się zaczęła, co ma na wieczere gotować. Z nogi na nogę przestępowała i aż drżała, tak jej się chciało coprędzej za drzwi wyskoczyć. Jednak gawędzenie, opowiadanie, żalenie się i chichotanie, było jej namiętnością. Uszczęśliwiał ją każdy, kto jej gawędzić z sobą pozwalał. Dlaczegoż teraz tak niecierpliwie rozmowę ze mną przerwać pragnęła? Zobaczyła snać przez okno kogoś, czyj widok oczy jej osuszył, kibić zgarbioną wyprostował i nogi porywał do szybkiego biegu. Zobaczyła przez okno młodego, wysokiego chłopca, który w surducie poplamionym, wysokich bótach i czapce, krzywo nieco na głowę włożonej, dziedziniec przebywał, dążąc ku wiodącemu do kuchni, bocznemu gankowi domu.

Przez dziedziniec szedł krokiem zamaszystym, z głową tak podniesioną i takimi ruchami ramion, jakby każdemu, kogoby spotkał, zapowiedzieć chciał: „do trzech ze mną nie gadaj!” Zawadyactwo i burda były z ruchów i miny jego. Gdy wchodził na wschody ganku, zachwiał się parę razy i zaklął grubym, rubasnym głosem. Twarz Romanowej zachmurzyła się znowu i po chwili stała się nawet bardzo posępną. Wyraz bólu napełnił szare jej oczy, trwoga, z przerażeniem granicząca, zatrzęsła wargami. Niemniej pilno jej było iść, pilniej jeszcze niż przed minutą, gdy zdala tylko spostrzegłszy nadchodzącego, dostrzec jeszcze nie mogła, w jakim przybywał on usposobieniu.

W kilka minut potem, w kuchni rozlegał się i aż na dziedzińcu słyszeć się dawał grubijański, trochę ochryply, z łajaniem i przekleństwami pomieszany, o coś u kogoś dopominający się głos męski, któremu od chwili do chwili głos kobiecy odpowiadał:

– Cicho, Michałku, cicho, cicho!

\*

Przy jednej z ulic Ongrodu wznoszono wielką kamienicę. Wysoki parkan z desek odgradzał ulicę od świeżego i już prawie do wysokości dachu zbudowanego muru. Pomiedzy parkanem a murem wznosiły się szkielety mularskich rusztowań, sterczały drabiny, na chodniku, okrytym rozbitemi ceglami i wapiennym pyłem, stały drewniane naczynia z rozrobioną gliną i wapnem. Dość często, w porze dnia tak wczesnej, że na ulicy znajdowała się mała jeszcze liczba przechodniów, przed wznoszącą się kamienicą, o parę kroków od parkanu z desek, stawała kobieta wysoka, gruba, w ciężkim skórzanym obuwiu, w sztywnej samodziałowej spódnicy i szarej chustce, zarzuconej na głowę. U ramienia jej wisiał kosz spory, zamknięty, napełniony zapewne przedmiotami, nabytymi w rzeźni i na rynku. Stawała przed parkanem z desek, twarz w górę podnosiła i ku szczytowi rusztowań patrzyła. U szczytu tego pracowało robotników mularskich kilkunastu, układając cegły i żywo poruszając kielniami i ramionami. Ale ona na jednego z nich tylko patrzyła. Odosobniony nieco od towarzyszy swych, w białym fartuchu, osłaniającym go dokoła od szyi aż do stóp, stał on na rusztowaniu najwyższym i gorliwie, zręcznie, wprawnie pracował. Robota jego była taką, że spełniał ją stojąc; wysoka więc, silna i zgrabna jego postać jako też głowa, czarnymi włosami okryta, z wypukłością rzeźby zarysowywały się na tle białawych obłoków. Inni robotnicy gwarzyli pomiędzy sobą, z opuszczonymi rękoma co chwilę odpoczywali, czasem zawadzili krótkie lecz donośne kłótnie. On nic do nikogo nie mówił i nie odpowiadał; z niejakim wdziękiem, przez siłę i doskonałą wprawę wytwarzanym, nieustannie poruszał ramieniem w kielnię uzbrojonem, i tylko czasem śpiewać sobie zaczynał głosem silnym i czystym; rzucał w powietrze kilka nut różnej piosenki i wnet ją urywał.

Kobieta z dużym koszem u ramienia, z podniesioną głową, wpatrywała się w młodego robotnika tego, a im dłużej patrzyła, tem rozkoszniejszy uśmiech rozlewał się po jej twarzy, ciemną, grubą, pomarszczoną skórą obleczoną, rozweseloną małym, zadartym nosem, świecącej dwojgiem oczu małych, szarych, bardzo żywych. Gruba, duża chustka, którą była okryta, zsunęła się jej całkiem na plecy, ukazując głowę w białym, przybrudzonej czepek. Potem i czepek przekrzywił się i zsunął na tył głowy, a zpod niego na wąskie i w grube fałdy pomarszczone czoło, rozsypały się rudawe i mocno posiwiałe włosy. Patrzyła wciąż i uśmiechała się coraz szczerzej, dobroduszniej, rozkoszniej. Coraz liczniej ukazujący się na ulicy przechodnie zatrzymywali się obok niej i za nią, podnosili także głowy i z rozwierającymi się od ciekawości ustami, poszukiwali w górze czegoś nadzwyczajnego, czemuby ta kobieta tak uparcie przypatrywać się mogła. Ona zgromadzających się dokoła niej ludzi nie widziała. Popychali ją oni i uderzali łokciami, ona tego nie czuła. Patrzyła. Przez otwór w parkanie wybiegł niewielki pies, kundel, w czarne i białe plamy, a ujrawszy ją przybiegł uradowany, przednimi łapami wspiał się o jej kolana i rękę jej polizał. Psa tego spostrzegła i wzrok ku niemu spuszczając pogłaskała go grubą, czerwonymi i czarnymi bliznami okrytą ręką.

– Żużuk! Żużuk! – mruknęła – pana swego pilnujesz! dobry Żużuk!

Wtem, z góry rozległ się głos męski:

– Czemu mama do domu nie idzie? Ludzie tylko schodzą się tu przez mamę, jak na widowisko jakie!

Znowu twarz swą oblaną rajsłym uśmiechem, w górę podniosła.

– Przyjdiesz, synku, na obiad?

Młody robotnik mularski zstąpił był po rusztowaniu o kilka łokci niżej i przechylony nieco ku dołowi, rozmowę z matką rozpoczął. Żużuk, ujrawszy go, z radosnym skomleniem rzucać się zaczął na parkan.

– Niech mama będzie spokojną, przyjdę z pewnością...

– Przyjdiesz? – wahającym się głosem zapytywała jeszcze.

Ale on schwycił znowu kielnię swą i już na nią nie patrzył. Raz tylko spojrział jeszcze w dół i zawołał:

– Żużuk!

Pies zrozumiał rozkaz i z podwiniętym ogonem położył się u stóp rusztowania. W kłębek zwinięty, leżał on tam całymi godzinami, od czasu do czasu tylko podnosząc głowę i sennym wzrokiem szukając w górze swego pana. Ilekroć młody robotnik brał zwawy i długotrwały udział w jakiejś dokonywanej się w mieście mularskiej robocie, Żużuk miał pozór najszczęśliwszego pod słońcem psa. Wybornie snać żywiony i czule pieszczony, spokojnie wylegiwał się u stóp rusztowania i wesoło potem, ze sprężystymi skoki i zuchwałym szczekaniem, biegł ulicami miasta, ślad w ślad za powracającym od roboty wysokim, zgrabnym chłopcem, w białym fartuchu i czapce ubielonej wapnem, a zawsze z fantazją, więc krzywo trochę włożonej na czarne włosy. W tych porach, w których Żużuk doświadczał niezmaconego dobrobytu i szczęścia, szczęśliwą też bywała i kobieta owa, która we wczesnej i porannej godzinie, z ciężkim koszem na ramieniu, oddawała się przed wznoszoną kamienicą niewypowiedziane błogim kontemplacyom. Zamieniwszy kilka słów z synem i pogłaskawszy Żużuka, odchodziła krokiem tak zwawym i sprężystym, jak gdyby miała lat dwadzieścia. Tu i owdzie zatrzymywały ją znajome jej kobiety, kucharki, tak jak ona, albo żony ubogich mieszczan, rzemieślników. Wtedy, na chodniku albo pośród rynku, słychać było rozmowy głośne, wśród których głos Romanowej brzmiał wesołością rubaszną i gadatliwą. Śmiała się i rozmachiwała rękoma.

– Jak Boga kocham, – dowodziła – najlepszy z niego w całym mieście robotnik! Chlewiński, kiedy zaczyna co budować, ledwie go po rękach nie całuje, żeby do niego, nie zaś do kogo innego szedł na robotę. Co drugi przez cały dzień robi, to on w dwie godziny, jak za siebie, zarzuci. W ojca wrodził się. Silny taki, że strach i robota mu pali się w rękę. Za zwierzętami tak samo jak ojciec przepada i **taki** zupełnie ojcowska natura... dalibóg... ojcowska...

Jejmość chuda i żółta, wielką chustką okryta, piskliwym głosem odpowiadała:

– Daj Boże! pani Romanowa! daj Boże! Tylko, że podobno nieboszczyk wódki nie znał...

Romanowa czuła się tem napomknięciem kumy niemile dotkniętą.

– I on tak samo znać jej nie będzie, – wołała – jak Boga kocham! nie będzie! Już miesiąc minął, jak do ust nie wziął... pracuje... Chlewiński płaci mu po rublu na dzień... Czy to żarty? Pieniądze te, mnie do schowania oddaje... – „Mama – mówi – mnie piękny tużurek kupi i palto... a potem jeszcze i zegarek srebrny... będę sobie ubierał się jak pan!” – Ot, zobaczycie, pani Wincentowo, że on o swoich pieniądzech prędko wiedzieć nie będzie... Wzbogaci się strasznie, pierwszym majstrem w Ongrodzie zostanie... Jak Chlewiński, własne domy będzie miał...

– Daj Boże! daj Boże! – piskliwym głosem powtarzała kuma, a złośliwie uśmiechała się. Ona, której mąż, garncarz, pijakiem był, wiedziała dobrze, co o tych wielkich nadziejach Romanowej mniemać należało.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.